

WANDA LURIE

Warszawa, 10 grudnia 1945 r. Sędzia Halina Wereńko, delegowana do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, przesłuchała niżej wymienioną w charakterze świadka. Uprzedzona o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań świadek zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko	Wanda Felicja Lurie z Podwysockich
Data urodzenia	23 maja 1911 r.
Imiona rodziców	Marcin i Maria
Miejsce zamieszkania	Podkowa Leśna, ul. Dębowa2
Zajęcie	przy mężu handlującym, przed wojną agent firmy „Sokół”
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarana

Od roku 1937 mieszkałam wraz z rodziną w Warszawie, przy ul. Wawelberga 19 m. 30.

1 sierpnia 1944 roku o godzinie 3.00 popołudniu rozpoczęły się na naszym punkcie zacięte walki. Powstańcy wybudowali w pobliżu naszego domu, to jest na rogu Wolskiej i Górczewskiej dwie zapory. W sąsiednim domu znajdowały się karabiny maszynowe, amunicja, granaty.

Sytuacja od pierwszych chwil była bardzo ciężka. Liczni zamieszkujący tu volksdeutsche strzelali z ukrycia do powstańców i wskazywali Niemcom położenie i sytuację Polaków. Użyto do akcji czołgi „tygrysy”, rozbito szereg domów. Czołgi niemieckie atakowały od ulicy Górczewskiej i od Wolskiej i wtargnąwszy na nasz teren, Niemcy wyciągnęli z domów

mężczyzn, każąc im rozbierać barykady. Jednocześnie podpalono parę budynków, rzucając z ulicy do mieszkań butelki z benzyną. Ludność, której nie wezwano uprzednio do opuszczenia mieszkań, uniemożliwione miała wyjście na ulicę.

Do 5 sierpnia przebywałam w piwnicy domu z trojgiem dzieci w wieku lat 11, 6 i 3,5, sama będąc w ostatnim miesiącu ciąży. Tego dnia o godzinie 12.00–13.00 wkroczyli na podwórko żandarmi niemieccy oraz Ukraińcy, wzywając ludność do natychmiastowego opuszczenia domu. Kiedy mieszkańcy piwnic od strony podwórza wyszli, żandarmi wrzucili do piwnic granaty zapalające. Zapanował popłoch i pośpiech.

Nie mając przy sobie męża, który nie powrócił z miasta, ociągałam się z opuszczeniem domu, miałam nadzieję, że pozwolą mi zostać. Musiałam jednak opuścić dom. Wraz z dziećmi i z rodziną Gulów wyszłam na Działdowską. Domy na ulicy już płonęły. Usiłowałam przejść początkowo w stronę Górczewskiej, ale na Działdowskiej stało dużo Ukraińców i żandarmów, którzy nie pozwolili mi przejść w tym kierunku, a kazali mi udać się na ulicę Wolską.

Droga była ciężka. Na ulicach leżało pełno kabli, drutów, resztek barykad, gumy, trupy. Domy paliły się po obu stronach ulic. Na Wolskiej i na Skierniewickiej wszystkie domy były już spalone. Na rogu Działdowskiej i Wolskiej widziałam pojedyncze trupy młodych mężczyzn w cywilnych ubraniach.

Na Wolskiej podeszłam do grupy osób z naszego domu.

Ogółem było nas pod fabryką ponad 500 osób.

Z rozmów współtowarzyszy zorientowałam się, że w fabryce zgromadzono mieszkańców domów z ulic Działdowskiej, Płockiej, Sokołowskiej, Staszica, Wolskiej i z ul. Wawelberga. Staliśmy przed bramą fabryki „Ursus” położonej przy ul. Wolskiej 55. Fabryka ta stanowi warszawski oddział państwowej fabryki położonej w miejscowości Ursus pod Warszawą. Przed bramą czekaliśmy około godziny. Z podwórza słychać było strzały, błagania i jęki.

Do wnętrza fabryki Niemcy wpuszczali, a raczej wpychali przez bramę od ul. Wolskiej, po sto osób. Chłopiec około lat 12, ujrawszy przez uchyloną bramę zabitych swoich rodziców i brata, dostał wprost szału, zaczął krzyczeć, wzywając matkę i ojca. Niemcy i Ukraińcy bili go i odpychali, gdy usiłował wedrzeć się do środka. Nie mieliśmy wątpliwości, że na terenie

fabryki zabijają. Nie wiedzieliśmy, czy wszystkich. Ja trzymałam się z tyłu, stale się wycofując, w nadziei, że kobiety w ciąży przecież nie zabijają.

Zostałam wprowadzona w ostatniej grupie. Na podwórku fabryki zobaczyłam zwały trupów do wysokości jednego metra. Trupy leżały w kilku miejscach, po całej lewej i prawej stronie pierwszego podwórza. Wśród ciał rozpoznałam zabitych sąsiadów i znajomych. Środkiem podwórza wprowadzono nas w głąb, do wąskiego przejścia na drugie podwórze. Tu Ukraińcy i żandarmi ustawili nas czwórkami. Mężczyźni szli z rękoma podniesionymi w górę. W grupie prowadzonej było około 20 osób, w tym dużo dzieci lat 10–12, często bez rodziców. Jedną bezwładną staruszkę przez całą drogę niósł na plecach zięć, obok szła jej córka z dwojgiem dzieci 4 i 7 lat.

Trupy leżały na prawo i na lewo, w różnych pozycjach. Naszą grupę skierowano w kierunku przejścia między budynkami. Leżały tam już trupy. Gdy pierwsza czwórka dochodziła do miejsca, gdzie leżały trupy, strzelali Niemcy i Ukraińcy w kark od tyłu. Zabici padali, podchodziła następna czwórka, by tak samo zginąć. Bezwładną staruszkę zabito na plecach zięcia, on również zginął. Przy ustawianiu ludzie krzyczeli, błagali lub modlili się.

Ja byłam w ostatniej czwórce. Błagałam otaczających nas Ukraińców, by ratowali dzieci i mnie. Któryś z nich zapytał, czy mogę się wykupić. Dałam mu trzy złote pierścienie. Zabrawszy to, chciał mnie wyprowadzić, jednak kierujący egzekucją Niemiec, oficer żandarm, który to zauważył, nie pozwolił i kazał mnie dołączyć do grupy przeznaczonej na rozstrzelanie. Zaczęłam go błagać o życie dzieci i moje, mówiłam coś o honorze oficera. Odepchnął mnie jednak tak, że się przewróciłam. Uderzył też i pchnął mojego starszego synka wołając: „prędzej, prędzej ty polski bandyto”. W międzyczasie wprowadzono nową partię Polaków. Podeszłam więc w ostatniej czwórce razem z trojgiem dzieci do miejsca egzekucji i trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą rączkę starszego synka. Dzieci szły, płacząc i modląc się. Starszy, widząc zabitych, wołał, że i nas zabijają. W pewnym momencie Ukrainiec stojący za nami strzelił najstarszemu synkowi w tył głowy, następne strzały ugodziły młodsze dzieci i mnie. Przewróciłam się na prawy bok. Strzał oddany do mnie nie był śmiertelny. Kula trafiła w kark z lewej strony i przeszła przez dolną część czaszki, wychodząc przez prawy policzek. Dostałam krwotoku ciążowego. Wraz z kulą wypłułam kilka zębów. Czułam odrętwienie lewej części głowy i ciała. Byłam jednak przytomna i, leżąc wśród trupów, widziałam prawie wszystko, co się działo dookoła.

Obserwowałam dalsze egzekucje. Wprowadzono nową partię mężczyzn, których trupy padały i na mnie. Przywaliło mnie około czterech ciał. Wprowadzono dalszą partię kobiet i dzieci. I tak grupa za grupą rozstrzeliwano aż do późnego wieczoru.

Było już ciemno, kiedy egzekucje ustały. W przerwach oprawcy chodzili po trupach, kopali, przewracali, dobijali żyjących, rabowali kosztowności. Ciała dotykali przez jakieś specjalne szmatki. Mnie samej zdjęto z ręki zegarek, nie zauważyli przy tym, że jeszcze żyję. W czasie tych okropnych czynności pili wódkę, śpiewali wesołe piosenki, śmiali się. Obok mnie leżał jakiś tęgi, wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce, który długo rzeził. Niemcy oddali pięć strzałów, zanim skonał. Te strzały raniły mi nogę. Leżałam tak przez długi czas w kałuży krwi, przyciśnięta trupami. Myślałam tylko o śmierci, jak długo będę się jeszcze męczyć. W nocy zepchnęłam martwe ciała leżące na mnie.

Następnego dnia egzekucje ustały. Niemcy wpadali tylko kilkakrotnie z psami, biegali po trupach, sprawdzali, czy kto nie żyje. Słyszałam pojedyncze strzały, prawdopodobnie dobijali żyjących.

Leżałam tak trzy dni, to jest do poniedziałku (egzekucja odbyła się w sobotę). Trzeciego dnia poczułam, że dziecko, którego oczekiwałam, żyje. To dodało mi energii i podsunęło myśl o ratunku. Zaczęłam myśleć i badać możliwości ocalenia. Próbując wstać, kilka razy dostałam torsji i zawrotu głowy. Wreszcie na czworakach przeczołgałam się po trupach do muru. Wszędzie leżały trupy, [w stosach] wysokości co najmniej mojego wzrostu i to na całym podwórzu.

Odniosłam wrażenie, że mogło tam być ponad sześć tysięcy zabitych.

Z miejsca, na którym leżałam, przeczołgałam się pod mur i stąd szukałam możliwości wydostania się dalej. Droga przejściowa przez pierwsze podwórze, przez które nas wprowadzono, była zawałona trupami. Za bramą słychać było głosy Niemców, musiałam szukać innego wyjścia. Przeważałam się na trzecie podwórze, po drabinie przez otwarty lufcik weszłam do hali. W obawie przed Niemcami pozostałam tu całą noc. W nocy „tygrysy” wyły bezustannie na ulicy Płockiej, samoloty bombardowały. Myślałam, że lada chwila fabryka spłonie wraz z trupami. Nad ranem uciszyło się. Wszłam na okno i na podwórzu zobaczyłam żywego człowieka, mieszkankę z naszego domu ob. Zofię Staworzyńską. Połączyłam się z nią. Przyczołgał się do nas jakiś niedobity mężczyzna w wieku około

60 lat z wybitym okiem, którego nazwiska nie znam. Po długim szukaniu i wielu próbach wydostania się odkryliśmy wyjście od ul. Skierniewickiej i tamtędy wraz z ob. Staworzyńską opuściliśmy fabrykę. Mężczyzna, słysząc głosy Ukraińców, został.

Wyszliśmy na ulicę Skierniewicką, chcąc się udać na przedmieście Czyste, gdzie znajdował się szpital. Ukraińcy stali na Wolskiej i początkowo nie zorientowali się, skąd idziemy. Zatrzymali nas i pomimo próśb i błagań, by nas puścili do szpitala jako ranne, popędzili nas w kierunku Woli, zabierając po drodze coraz więcej osób.

Niedaleko kościoła św. Stanisława rozdzielono grupę młodych i starych. Grupę młodych mężczyzn i kobiet wprowadzono do jakiegoś zburzonego domu, skąd po chwili doszły nas odgłosy strzałów. Przypuszczam, iż odbyła się tam egzekucja.

Resztę, w tej grupie i mnie, popędzono do Szpitala św. Wojciecha przy Wolskiej. Po drodze widziałam leżące na jezdni i na chodnikach trupy i części ciał. Grupy Polaków pod strażą uprzątały zwłoki. Stojący przed kościołem oficerowie niemieccy przyjęli nas popychaniem, biciem i kopaniem.

Kościół był już zapełniony ludnością Warszawy z różnych dzielnic. Leżałam przez parę dni przy głównym ołtarzu. Żadnej pomocy mi nie udzielono. Jedyne współtowarzysze niedoli podali mi tylko trochę wody.

Po dwóch dniach zostałam przewieziona furmanką z ciężko rannymi lub chorymi do obozu przejściowego w Pruszkowie, stąd do szpitali w Komorowie i Leśnej Podkowie.

Obecnie nie czuję się zdrowa. Jakkolwiek muszę pracować, by wychować dziecko po strasznych przeżyciach.

PROTOKÓŁ

Warszawa, 20 listopada 1946 r. Sędzia Halina Wereńko dokonała za pośrednictwem biegłego sądowego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego oględzin sądowo-lekarskich poszkodowanej Wandy Felicji Lurie z Podwysockich.

Oględziny wykazały co następuje:

1. Wywiad lekarski.

Na stosowne zapytanie poszkodowana wyjaśniła, iż 5 sierpnia 1944 razem ze wszystkimi mieszkańcami została wypędzona przez żołnierzy niemieckich z domu przy ul. Wawelberga 18 w Warszawie i odstawiona do fabryki „Ursus” przy ul. Wolskiej 55, gdzie odbyła się masowa egzekucja Polaków. W czasie egzekucji żołnierz niemiecki strzelił z rewolweru do poszkodowanej, trafiając w kark w ten sposób, że kula wyszła przez lewy policzek, następnie po osunięciu się na ziemię – trzy razy w nogi, raz w lewą i dwa razy w prawą powyżej kostek. W parę godzin później, w przerwie pomiędzy rozstrzeliwaniem przyprowadzanych grup Polaków, żołnierz niemiecki czy ukraiński, szukając kosztowności u trupów, wszedł butem na lewą nogę poszkodowanej, powodując zwichnięcie w kostce. W czasie egzekucji poszkodowana była w dziewiątym miesiącu ciąży, dostała krwotoku ciążowego i z ran. Po udanej ucieczce z miejsca egzekucji poszkodowana, zatrzymana na ulicy Wolskiej przez żandarmerię niemiecką, została odstawiona do kościoła św. Wojciecha, gdzie leżała przed ołtarzem dwa dni bez opatrunku i bez pomocy lekarskiej. Rany szyi i klatka piersiowa nabrały koloru ciemnego, lewa ręka była bezwładna. Po odstawieniu w transporcie chorych do obozu przejściowego w Pruszkowie wraz z innymi ciężko chorymi 11 sierpnia 1944 roku dostała się do szpitala PCK w Leśnej Podkowie, gdzie po raz pierwszy założono jej opatrunki. W szpitalu w Leśnej Podkowie pozostała do 19 sierpnia, następnie przebywała w szpitalu powiatowym w Pruszkowie, gdzie 20 sierpnia urodziła syna. 29 sierpnia odesłano poszkodowaną do PCK w Leśnej Podkowie i odtąd pozostała w wyznaczonym lokalu pod opieką docenta Rutkowskiego i dr. Churskiego. Poszkodowana okazuje kartę wypisową szpitala powiatowego w Pruszkowie z datą 29 sierpnia 1944 r., z której wynika, iż Wanda Lurie przebywała w szpitalu powiatowym w Pruszkowie od 19 do 29 sierpnia 1944 r. z powodu porodu, rany postrzałowej twarzy i podudzia prawego. Karta wypisowa jest zaopatrzona podpisem dyrektora szpitala dr. Komorowskiego i odcinkiem okrągłej pieczęci z treścią w otoku

„Wydział Powiatowy Szpital w Pruszkowie”. Do dnia dzisiejszego poszkodowana pozostaje pod opieką lekarską PCK, czuje się niedobrze, odczuwa bóle głowy, szczęki, obu nóg, wątroby, jest osłabiona, łatwo się męczy. Syn poszkodowanej jest nerwowy i źle sypia.

2. Stan obecny

Poszkodowana jest wzrostu wysokiego, dobrej budowy, dostatecznego odżywienia. Na lewym policzku pośrodku znajduje się gwiaździsta biaława blizna średnicy około 15 mm, przesuwalna, z lekka stwardniała. Na skórze karku po stronie lewej, wśród włosów tuż przy brzegu kości potylicowej, znajduje się mała wyraźna biaława blizienka o średnicy kilku mm. Ze strony nerwów czaszkowych zmian obiektywnych nie stwierdzono. Badana jest krótkowzroczna, w dzieciństwie straciła lewą gałkę oczną i ma protezę. Prawa źrenica szeroka, na światło oddziałowuje [reaguje] powoli. Na prawym podudziu, w części mniej więcej środkowej, od wewnątrz znajdują się dwie blizny w odległości około 3 cm jedna od drugiej, kształtu owalnego, średnicy do 2 cm, koloru brunatno-białawego. Na lewym podudziu w części dolnej od wewnątrz znajduje się brunatno-biaława okrągła blizienka, średnicy około 10 mm. Czynność kończyn dolnych bez zaburzeń. Odruchy ścięgniste miernie żywe, równe. W górnej szczęce brak po stronie lewej u góry kła i drugiego trzonowca. Badana twierdzi, że zęby te straciła wskutek wspomnianego postrzału, skarży się na drętwienia i uczucia zimna w obrębie lewego policzka. Tony serca czyste, akcja miarowa, tętno 68 na minutę, miernie napięte.

Opinia

1. Mając na względzie treść dochodzenia, zeznania poszkodowanej i wynik badania tejże przychodzę do wniosku, że opisane w protokole blizny powstały przy gojeniu się zranień postrzałowych otrzymanych przez badaną w czasie, który ona podała.

2. Wskutek otrzymanych obrażeń u badanej wystąpił rozstrój zdrowia połączony z zakłóceniem czynności organizmu i prawej nogi, jak również i czynności żucia trwające dłużej niż dni 20 (art. 236 kk).

Postrzał lewej nogi spowodował zakłócenie czynności tej kończyny trwający krócej niż dni 20.